GŁOS
TYGODNIK POLSKIEJ MYŚLI NARODOWEJ

Rok VI — Nr. 2 Poznań, dnia 19 stycznia 1936 Cena 20 gr

Adam Moskal, Kraków

KULTURA CZY JARMARK

I.

Polskość naszej kultury i cywilizacji jest dziś atakowana na dwu frontach: zewnętrznym i wewnętrznym. Nietylko obcy, niemal wyłącznie żydzi, ale i wielu swoich stoi w obozie jej przeciwników. Robi się to w imię nowoczesności i futuryzmu względnie z powołaniem się na postęp międzynarodowy, czy z programem kultury proletarjackiej i walki z „reakcją faszystowską", kiedyindziej z frazeologją liberalizmu lub też narodowości, pojętej jako przynależność państwowa. Mniejsza, zresztą, o szyldy i hasła, cel jest wszędzie ten sam. Schodzą się te napaści w jednym punkcie, gdy wszystkie przeczą historyczności cywilizacji, jej ciągłości i nierozerwalnemu związkowi z psychiką narodową. Dzisiejszą technikę łączy się z pewną sumą bezkrytycznie przyjmowanych nowatorstw z różnych dziedzin i pod ogólną nazwą współczesnej kultury przeciwstawia historycznie pojętej cywilizacji narodowej.

Dla nich kultura to nowa maszyna, produkująca więcej i szybciej, wielopiętrowy budynek, dancing i kabaret, nowy modny garnitur. Tak pojęta może ona być rzeczywiście międzynarodowa, skoro w całej Europie używa się jednakowych telefonów, jeździ pospiesznemi pociągami, tańczy tango i nosi sztywne kołnierzyki. I powiadają: widzicie to wszystko. Gdzie coś podobnego jest w waszym tradycjonaliźmie? Jesteście zacofani. Rozróżnianie ludzi na podstawie narodowości i rasy (tu najkrzykliwsze są żydziaki) jest wracaniem do barbarzyństwa. Czas usunąć średniowieczne różnice w epoce powszechnego postępu, która zbliża i łączy narody we wspólnej wysokiej kulturze,ześrodkowanej dziś w miastach. Tylko w miastach, któżby bowiem mieszkał jeszcze na wsi, gdzie niema kina i rewji, jazzbandu i mody. Wieś, jednem słowem, tchnie idącą od ziemi wonią swojskiego obskurantyzmu."

Wszystko pięknie. Ale obok zdobyczy technicznych, higjenicznych i innych, obok udogodnienia życia, jakoś się w epoce tego postępu rozłazi rodzina, demoralizuje młodzież, upada poziom obyczajów, rośnie przestępczość. Co jakiś czas ktoś z szermierzy nowego ładu stwierdza, że jest źle, ale nie umie podać przyczyn i wskazać ratunku. Bładzi razem z tłumem, rozbija nos o te same przeszkody, skarży się i narzeka, ale nie potrafi skrzesać iskry, by oświetlić ciemności. Coś nie w porządku. Zakłamano siebie, krzycząc, że cywilizacja postępuje naprzód, a to rozwija się tylko jedna jej część, gdy inne dezorganizują się i wyrodnieją. Dzieje się tak, jak się działo zawsze, gdy fantom postępu technicznego i materjalnego przysłaniał wszystko inne. Bo przecież kultura, to nie maszyna, asfalt na ulicy, radjo, czy proszek na pchły.

II.

Kultura to człowiek, nie leży ona nazewnątrz niego, ale wewnątrz, w duszy. Stanowią ją naturalne własności i skłonności duszy, ustrój instynktów, władz i czynności psychicznych, które składają się na jednorodną budowę moralną człowieka. Wspólne pochodzenie i przeszłość razem przeżyta w tych samych formach politycznych, społecznych i obyczajowych, jednolitość warunków geograficznych i przyrodniczych, używanie własnego języka, wreszcie przemożny wpływ religji i moralności katolickiej urobiły dusze nas Polaków, w pewien sposób i na jeden typ. Na tem polega charakter narodowy, czyli wspólny członkom narodu typ budowy moralnej. Ta wspólna postawa przejawia się we wszelkiej działalności człowieka, tak duchowej jak i materjalnej, więc wszystkie dziedziny jego twórczości noszą wspólne piętno swego sprawcy i łączą się harmonijnie w wielkie dzieło narodowej cywilizacji. Panuje w niej ten sam porządek i układ, co w duszy człowieka, któremu zawdzięcza swe powstanie. Między kulturą, czyli duszami jednostek ukształtowanemi w typie narodowym, a cywilizacją, czyli całokształtem twórczości narodu, istnieje ścisła łączność i odpowiedniość.

Dzisiejsza nasza cywilizacja jest wynikiem prac szeregu pokoleń polskich, żyjących przed nami. Myśmy ją odziedziczyli, mamy zaznaczyć w niej swój udział i skolei podać synom. Ani cywilizacja, ani charakter narodowy nie są czemś statycznem, martwem, co się kiedyś tam ukształtowało i pozostaje bez zmian. Przeciwnie, żyje i ciągle się rozwija. Dusza poszczególnego człowieka ulega ewolucji, ale nie zatraca w niej pewnej linji i świadomości o tożsamości swej istoty teraz i przedtem, o tem, że nie jest taka sama, jak w poprzednim okresie, ale jest ta sama. Krótko mówiąc, ewolucja duszy ludzkiej odbywa się organicznie. Podobnie charakter narodowy, a z nim i cywilizacja, przeobraża się wedle pewnej wewnętrznej linji i z zachowaniem samowiedzy o swej ciągłości i jednolitości. Naród, który jest także osobowością, w swoich duchowych dziejach, zachowuje się, jak żywy organizm. Stąd poczucie bliskości i umiłowania przeszłości, jej rozumienie. O ileż bliższy jest nam stary Jan Kochanowski, niż np. współczesny Słonimski czy Tuwim. Bo tamten, choć tamten żył 4 wieki temu, miał jak i my polską duszę. A Tuwim i Słonimski, choć żyją równocześnie z nami, piszą dzisiejszą polszczyzną, nie przestali być żydami; ich dusze są ukształtowane tak, jak to sprawiło pochodzenie i koleje żydów, takie same, jak u każdego chałaciarza, choćby nawet nie pochodzili z getta, od czego się poniektórzy z właściwym ich rasie temperamentem odżegnują.

Charakter narodowy jest bowiem dziedziczny, przechodzi z ojców na synów. Nie tak dawno usiłowano ośmieszyć i podważyć ten fakt, obecnie badania psychologiczne, socjologiczne i biologiczne wykazały naukowo dziedziczenie cech psychicznych. Stąd jedność charakteru narodowego w perspektywie historycznej, stąd różnice ze zasymilowanemi pozornie przez przyjęcie polskiego obywatelstwa i języka. Podanie przy spisie ludności narodowości polskiej nie sięga w te pokłady psychiki, gdzie się decyduje sprawa podobieństwa i świadomości narodowej.

Ścisłe określenie cech charakteru narodowego i odgraniczenie go od innych napotyka nieraz na duże trudności, to prawda. Nie bez wpływu jest tu fakt, że badania nad temi sprawami są stosunkowo bardzo niedawne i nieprowadzone równolegle we wszystkich dziedzinach, a w niektórych zupełnie zaniedbane. Przeciwnicy wskazują też na szereg typów pośrednich, będących rezultatem skrzyżowania się różnorodnych wpływów, których nie można zaliczyć ani tu ani tam, Twierdzą, że wobec tego nie da się pociągnąć wyraźnej granicy, a tem samem niewiadomo, o czem mówić. Oczywiście, osobniki o niewyraźnej przynależności są. To, że nie można nieraz ustalić dokładnej granicy, nie dowodzi, by rzecz, o którą chodzi, nie istniała i byśmy nie mieli prawa o niej mówić. Gdzież wogóle wżyciu psychicznem potrafimy pociągnąć granicę matematyczną, czy nawet w naukach przyrodniczych da się ją często ustalić? Ośrodki podawanych faktów istnieją i nie ulegają żadnej wątpliwości. W widmie słonecznem nikt nie odgraniczy jednej barwy od drugiej, ale też nikt o zdrowych zmysłach nie zaprzeczy na tej podstawie, by nie istniał w niem np. kolor czerwony.

Wspólny charakter narodowy kształtuje wszystkie dziedziny działalności i twórczości, urabia całą cywilizację narodową na jedną modłę, wytwarza w niej jeden styl. Objawia się on wszędzie: w ustroju społecznym, prawodawstwie, formie organizacji politycznej narodu, literaturze, sztuce, filozofji, nauce, architekturze, obyczajach, ubiorach itd. Jest zewnętrznym znakiem pewnego typu kulturalnego, który się w nim odbija. Gdzie brak tego jednolitego stylu w cywilizacji, tam niema kultury.

Ponieważ na cywilizacji wychowują się nowe pokolenia, ma ona przez to wpływ na kulturę narodu i stąd też płynie konieczność bronienia jej swoistego stylu przed wynaturzeniem, lub zdezorganizowaniem przez zgubne wpływy, gdyż to pociągnęłoby podobne następstwa dla charakteru narodowego. Nie znaczy to, by należało wogóle unikać wszelkiego zetknięcia się z elementami obcemi. Cywilizacje zbliżone do naszej przy rozsądnym i umiarkowanym doborze, mogą z powodzeniem odegrać rolę pożytecznych impulsów w naszej własnej twórczości. Tak bywało w historji i nieraz jeszcze napewno będzie. Ale dotyczy to tylko jak podkreślono, cywilizacyj pokrewnych, to znaczy stworzonych przez narody katolickie i aryjskie z pochodzenia.

Zupełnie inna sprawa, gdy mamy do czynienia z typem kulturalnym zasadniczo nam obcym, jak np. z semitami, żydami. Ich cywilizacja, wywodząca się z duszy dalekiej, o strukturze moralnej pod wielu względami z naszą wprost sprzecznej, nie może dla naszej twórczości stać się pomocą i impulsem, ale tylko ją rozstroić, osłabiając i rozkładając jej porządek, burząc harmonję, podważając idee kierujące. A że cywilizacja narodowa i charakter narodowy stanowią o naszem istnieniu, jako narodu żyjącego i zdolnego do tworzenia, więc dziwne są okrzyki oburzenia, że się przed tem bronimy. To nie jest „faszyzm", ani „reakcja", ani „zoologiczny antysemityzm", to jest walka o istnienie własnej odrębności i cywilizacji.

Tam, gdzie się spotkają elementy ze sobą sprzeczne, gdzie zostanie rozbita naturalna, organiczna harmonja w człowieku i jego dziełach, tam kończy się kultura i cywilizacja, a rozpoczyna barbarzyństwo. Takiem barbarzyństwem jest idąca dziś poprzez Europę, zarówno ze sowieckiej Rosji, jak i z pewnych źródel pozostałej Europy, a także i Ameryki, w których żydzi grają odpowiednią rolę, „kultura" skomasowanej lewicy i masonerji. Wysmażona w laboratorjach narodu wybranego, opatrzona stemplem jego indywidualności, przedstawia pozatem dziwną mieszaninę różnorodnych elementów, nie powiązanych żadną wewnętrzną spójnią, pozbawionych swojego stylu. Brak u jej podstaw tego, co tworzy, łączy i utrzymuje każdą prawdziwą cywilizację, brak jednorodnej i twórczej psychiki narodowej. Jest to trup z „Nieboskiej", ubrany w pożyczane zewsząd szmatki i wdzięki, z którego dla przyszłości nic się nie narodzi. Walka z religją i idealnemi dążnościami człowieka, walka ze świadomością narodową, z rodziną, z etyką, wyzwalanie niskich popędów, to ma być ta kultura. Wszystko to zasłania się rzeczywistemi zdobyczami techniki i pod wspólną nazwą postępu pcha w świat.

Rozumiemy wielką rolę techniki w życiu człowieka i znamy jej piękne karty w dotychczasowych dziejach, ale jej nie przeceniamy. Wiemy, że nie jest ona jedyną wartością i że nie wolno dawać jedną ręką wynalazku, a drugą odbierać dobra moralne. Tego rodzaju materjalizm daleko nie zaprowadzi i pomimo pozornych triumfów musi się skończyć z konieczności katastrofą i deprawacją, bo zapomina, że w ten sposób zaspokaja tylko potrzeby cielesne, a pomija duszę. Są dobra wyższe od technicznych i materjalnych, odgrywające w prawdziwym postępie większą rolę. Średniowiecze nie znało sukcesów techniki, ale dzięki swej głębokiej kulturze, zresztą nie na całej przestrzeni i nie wszędzie, wzniosło się w ogólnym poziomie wyżej od najbujniejszych okresów nowoczesnego „postępu". Samo to słowo jest zresztą frazesem i kłamstwem, jeśli oznacza tylko bezładne gromadzenie nowych pomysłów, bez dbania o ciągłość i rozwój kultury i cywilizacji, gdyż na tem polega prawdziwy postęp.

III.

Wytworzyliśmy w historji własne formy ustrojowe i społeczne, własne stosunki prawne, oryginalną literaturę i sztukę, naszą własną obyczajowość w domu i życiu publicznem, własną architekturę i zdobnictwo. Nawet tam, gdzie pobudka wychodziła od obcego wzoru, nie ograniczaliśmy się nigdy do naśladownictwa, ale wszystkiemu nadaliśmy piętno polskości i swojskości. I dlatego nasza cywilizacja narodowa była żywa, jednolita, oryginalna, miała wartość i urok dla swoich i obcych, którzy za jej pośrednictwem poznawali duszę polską. A była taką dlatego, że stworzyli ją Polacy.

Weźmy pod uwagę literaturę. Piszący tworzy nie jakimś specjalnym organem, ale całą duszą, tą samą, która działa we wszystkich innych sprawach. Stąd dzieło ma tę samą budowę wewnętrzną, ten sam styl, co twórca. Stworzona przez Polaków literatura była odbiciem duszy narodowej, jej upodobań, ideałów, porządku moralnego. Była sztuką narodową, dawała obraz dziejów duszy polskiej, drogi przez nią przebytej i jej przeobrażeń.

Gdy dziś podnosimy hasło literatury narodowej, to nie znaczy, by miała ona mieć jakąś określoną tendencję, być moralizatorską, w tym czy innym kierunku służyć czyimś doraźnym interesom politycznym czy gospodarczym, reprezentować pewną ideologję lub program literacki, czy estetyczny. Nie. Ma ona być, wedle słów Zygmunta Wasilewskiego, „wolną stylizacją duszy narodowej", odzwierciedleniem porządku moralnego polskiej duszy w tworach piękna. Nie ogranicza to swobody twórczej jednostki ani co do tematu, ani formy artyzmu, ani rodzaju talentu. Nie jest to żadna piatiletka artystyczna, jeno przypomnienie faktu, że literatura narodu musi zawsze mieć i w normalnych warunkach ma to samo oblicze, co jego psychika, że jest obrazem charakteru narodowego.

A jak postąpić z twórcami, w których dzielach, choć pisanych po polsku, wyraża się psychika inna, obca naszej. Nikt im nie zaprzecza talentu i artyzmu, jeśli go posiadają, ale nie mogą być zaliczeni do polskie literatury narodowej. Kryterjum jest juta dusza, a nie język, czy terytorjum, na którem powstają dzieła, lub obywatelstwo autora. W obecnej chwili dotyczy to przedewszystkiem żydów: nie są Polakami i nie mogą być wyrazicielami duszy polskiej w słowie. Przykłady różnicy? Weźmy Tuwima i Jerzego Lieberta. Obaj skamandryci, wychowani w jednych poglądach na sztukę, w tem samem środowisku literackiem. Liebert jako młodszy naturalną koleją ulegał wpływom Tuwima. A mimo tego, jaka między nimi kolosalna różnica, którą Polak natychmiast odczuje, jako dwa światy uczuć, instynktów i pojęć, jeden swój i bliski, drugi obcy i daleki.

(Ciąg dalszy na str. 3-ciej)

X. Józef Prądzyński

Ład życia

Nawet ludzie uprzedzeni podziwiają moc organizacyjną Kościoła Katolickiego. Stale, niezmiernie pełni swoje wielkie posłannictwo. Zadziwiające przechodził wstrząsy, kataklizmy z zewnątrz, próby rozkładu na wewnątrz. Bywały okresy, że stał pozornie na krawędzi bytu. Starczy przytoczyć czas pseudoreformacji i złączonych z nią przewrotów politycznych i społecznych oraz wojen, przewalających się, niby nie mogąca się skończyć burza, przez Europę, Niemcy, Anglję, państwa skandynawskie i inne wygnały pod grozą męczeńskiej śmierci kapłana katolickiego. Msza była zbrodnią stanu. Nie są to nawet stany i czasy bardzo odległe. Kościół świadomy swej mocy nadprzyrodzonej, złączonej z posłannictwem, poszedł wtedy zdobywać Azję dla Królestwa Chrystusowego, a gdy najcięższa minęła burza, wrócił na utraconą część Europy. Dzisiaj rozkwita w Holandji, Anglji, umacnia swoje placówki w państwach skandynawskich. Nie ustępuje nigdy na stałe z wytkniętej sobie drogi. Ma swój wielki boski ideał, ma jednak równocześnie swój ład organizacyjny, metody działania niezmienne, ale umiejące pod wpływem samokrytycznej kontroli wewnętrznej liczyć się ze zmianą warunków zewnętrznych. Kto pragnie być zdobywcą w dziejach, niech wpatruje się w minioną i teraźniejszą historję Kościoła i uczy z niej pilnie. — Obóz narodowy weźmie w swoim czasie Polskę, nie dla siebie, ale dla całego narodu. Chciał to osięgnąć mądrze, bez szkodliwych wstrząsów musi być wielką strażnicą a jeszcze większą szkołą, mało obiecywać a bardzo wiele wymagać: pracy wewnętrznej nad wyrobieniem charakteru, dyscypliny zewnętrznej, wypływającej z właściwego nastawienia duchowego. Sprawą sumienia każdego członka obozu narodowego jest: rozpoczynać każdą naprawę od siebie, dążyć do równowagi, być gotowym do karnej ofiary i pracy.

Zapał i entuzjazm należy podawać kontroli moralnej, szafować nim oględnie, aby nie wypalił się na drobiazgi a nie zawiódł w chwilach decydujących. Narodowi polskiemu potrzeba przedewszystkiem dla zabliźnienia ran, zadanych przez demoralizującą długą niewolę, ładu we władzach duszy, a więc rozumie i woli, potrzeba dzielności fizycznej. To też do najpilniejszych zadań Polski jako państwa należą: ustrój prawny z niezależnem sądownictwem, szkolnictwo o bardzo wysokim poziomie wychowawczym, oraz wojsko otoczone najczulszą opieką i miłością narodu. Entuzjazm, moderowany mądrością i rozwagą, dbający o zatrzymanie w każdem położeniu inicjatywy, nie zniechęci się niepowodzeniami chwili, ani nawet poważną porażką. Wytrącony na chwilę pozornie z linji przewodniej, wraca na nią po krótkiej kontemplacji i zetknięciu się z niezmiennemi wartościami moralnemi. Niechże za rozlewne tezy stanie streszczenie powyższych uwag w lapidarnych skrótach:

Niewzruszony ideał życiowy! — Ład w duszy i rygor moralny! — Wynikająca z niej karność! Gotowość do ofiar! Entuzjazm, ujęty w karby! Wytrwałość nieugięta!

Rycerze Wielkiej Polski z Krzyżem i Białym Orłem w herbie niech przyjmą one hasło jako wyraz życzeń noworocznych!

Marjan Zdziechowski, Wilno

Nauka polska na przełomie

(Z powodu artykułu p. Józefa Cieślińskiego)

Nr. 3 „Głosu" z artykułem Józefa Cieślińskiego pt. „Nauka na przełomie" rozesłaliśmy do p. prof. uniwersytetów z prośbą o wypowiedzenie się w sprawach w artykule poruszonych. Między innemi przesłał nam swoje uwagi prof. Marjan Zdziechowski, które niemal w całości podajemy.

Na uczynioną mi przez redakcję uprzejmą propozycję zabrania głosu w sprawie, którą poruszył p. Józef Cieśliński w interesującym artykule „Nauka na przełomie", nie mogę z powodu nawału prac i zajęć opracować odpowiedzi wyczerpującej, natomiast pozwolę sobie podać ustępy z listu mego, pisanego przed kilku miesiącami do jednego z przyjaciół moich, z którym korespondowałem w sprawie reformy uniwersyteckiej.

Ówczesny minister oświaty uskarżał się, że ustawa uniwersytecka pozbawiała go możliwości ingerowania i to miało być jednym z powodów ograniczenia autonomji szkół wyższych.

Dziś stwierdzamy, że pod tym względem reforma chybiła celu: wrzenia wśród młodzieży trwaja i nadal i nieraz przybierają formy zatrważające.

Nie zapobiegłszy temu, co wymagało poskromienia, reforma wywołała natomiast trzy zgubne dla państwa, dla Polski następstwa. Streszczam je w trzech punktach:

a) wkroczenie polityki do uniwersytetów,

b) poniżenie godności i autorytetu przedstawicieli nauki,

c) deprawacja młodzieży.

Co do punktu a): Przed reforma ogół profesorski w znacznej większości swojej stał poza partjami politycznemi, a dla rządu był życzliwie usposobiony, o ile zaś niektórzy z profesorów do stronnictw politycznych należeli, nie naruszało to w niczem ich wzajemnych koleżeńskich stosunków. W wyborach na rektora polityka żadnej roli nie grała: naprzykład moją kandydaturę trzykrotnie wysuwali koledzy daleko ode mnie stojący pod względem politycznym. Dziś ostra linia graniczna przedziela profesorów, dawna koleżeńskość słabnie i, sadzę, słabnać będzie w miare usuwania starych profesorów, przedstawicieli dawnych tradycyj, i zastępowania ich nowemi silami. Dojść może do tego, że korporacja profesorska podzieli się na dwa wrogie obozy: w jednym znajdą się profesorowie prorządowi, uważani przez stronę przeciwną za karjerowiczów, nie zasługujących na zaufanie i poważanie, w drugim — ci, co entuzjazmu. dla reformy nie afiszowali — stąd źle w ministerstwie widziani, siedzieć będą cicho bez odwagi powiedzenia tego, co myślą, drżąc, że lada chwila mogą być wyrzuceni i znaleźć się na bruku bez środków do życia.

Co do punktu b): Autonomja uniwersytetów była bardzo ciasna; mogę o tem świadczyć jako b. rektor. Każdego niemal miesiąca przybywał ktoś z ministerstwa do Wilna dla kontroli. Ale tę ograniczoną autonomję odebrano nam. Trzydziestu z pośród najpoważniejszych profesorów, przeważnie byłych rektorów oraz członków Akademji, o nazwiskach nieraz głośnych poza granicami Polski, wystąpiło w obronie szkół akademickich; głosy ich zlekceważono.

W kołach rządowych i prorządowych gadano o nich, jako o głupcach; nic dziwnego; głupcami w oczach takich, których w Dumie rosyjskiej nazwano „partją ostatniego rządowego dekretu", sa ci, co w obronie przekonań swoich i w obronie instytucyj ich pieczy powierzonych gotowi są narażać się na przykre nieraz następstwa swojej śmiałości.

Dodam, że ku zdumieniu memu spotkałem nawet wśród ludzi zbliżonych do sfer uniwersyteckich takich, co nie umieli rozróżnić między rządem a państwem i krytykę zamierzeń i projektów ministra uważali za akt antypaństwowy, a zatem i rewolucyjny; bo jakże śmieć mierzyć się z ministrem! Delegacja złożona z rektora Uniwersytetu Wileńskiego i dziekanów wydziałów udała się w swoim czasie do ministra w celu wstawienia się za kolegami, wyrzuconemi z uniwersytetu, albo, mówiąc delikatnie, przeniesionymi w stan spoczynku z powodu zwinięcia ich katedr. Minister przyjąć jej nie raczył, zastąpił go jeden z wyższych urzędników, który przemówił do delegatów opryskliwie i niemal brutalnie.

Słowem, zostaliśmy zepchnięci do roli fagasów ministra, do roli „speców", którym wolno mieć własne zdanie i pogląd tylko w obrębie swojej działalności, i to niezawsze. Czemże to jest, jeśli nie wyrazem zbolszewiczenia i, co za tem idzie, bolszewizowania nauki, wyrazem, którego pierwsi zwiastuni jeszcze przed trzema laty krzyczeli, że „kultura ducha to pakunek z czasów niewoli, który z dniem każdym traci resztę sensu". Bolszewizacja od dołu poszła do góry i górne sfery objęła, małą zaś znajduję pociechę, gdy mi mówią, że w sowieckiej Rosji i w państwie Hitlera jest jeszcze gorzej. Zupełną ma słuszność p. J. Cieśliński, twierdząc, że zwycięstwo kierunku, którego wyrazem jest reforma szkół wyższych, „grozi nauce upadkiem, przedstawicielom zaś nauki i kultury - przyjęciem i nasiąknięciem kulturą systemu, który grawituje wyraźnie ku wschodowi".

Korporacja profesorska jest przedstawicielstwem kultury naukowej, kultury ducha. Pomiatanie kulturą w osobach jej przedstawicieli prowadzi do obniżenia umysłowego i moralnego poziomu społeczeństwa, który był zawsze niski. Wszak w mniemaniu szerszego ogółu wyraz profesor jest synonimem głupca, który poza swojem A. B. C. nic nie widzi i o niczem nie wie; dotyczy to szczególnie Kresów; w jednej z gazet wileńskich postawiono niedawno profesorów uniwersytetu na jednym poziomie z praczkami, szwaczkami i młodzieżą gimnazjalną (sic!). Pracę naukową lekceważą u nas, na książki poważne wydają znacznie mniej niż w najbardziej zacofanych krajach.

Do punktu c): Najgorsze i najgroźniejsze jest świadome, celowe deprawowanie młodzieży. Młodzieży kupować nie wolno — powinnoby to być aksjomatem dla kierujących jej wychowaniem, niestety, u nas ją kupują. Nieraz słyszę, jak uczniowie i ich rodzice rozprawiają o tem, czy koniecznie należy się zapisać do „Przedniej Straży", ażeby otrzymać maturę. Gawędy podobne są nieuniknionym skutkiem pomysłu fabrykowania (nie zaś wychowania) młodzieży państwowej. Natomiast co do uniwersytetów nie jest to gawędą, plotkowaniem, każdy to widzi, że należenie do jawnie faworyzowanego Legjonu Młodych i pokrewnych jemu stowarzyszeń jest jeśli nie warunkiem, to ułatwieniem w zdobyciu stypendjum, czy posady. Publicznie to napiętnował poseł Sławek. Pozatem w prasie wciąż pojawiają się pogłoski, że są wśród młodzieży liczni konfidenci policji, szpiegujący kolegów swoich, pogłoski te nie zostały dotychczas zdemontowane przez odpowiednie władze.

Legjon jest komunistyczny i bezbożnicki. Komunizm i antyteizm mają swego proroka w osobie Wł. Spasowskiego, który przez długie lata był dyrektorem Instytutu Pedagogicznego, czyli pod okiem min. oświaty kierował wychowaniem przyszłych wychowawców młodzieży. Dzieło jego „O wyzwoleniu człowieka", pisane w szale namiętności, a wydane ozdobnie i kosztownie, ma pomimo to licznych nabywców. W pierwszych rozdziałach jest ta książka zaciekłą propagandą bezbożnictwa, w ostatnich apoteozą komunizmu i Lenina, jako największego człowieka, jakiego ludzkość wydała. Czyżby to także leżało w programie ministerstwa oświaty?

Pytam, jak się to wszystko stało, czem się tłumaczy? Czy tylko sekciarskiem zaślepieniem, nie widzącem tego, że deprawowanie młodzieży jest niszczeniem moralnej podstawy, na jakiej państwo stać powinno, czy też jakąś na wielką skalę zamierzoną i na lat może kilka obliczoną konspiracją w celu zagarnięcia władzy!

NASZE REPORTAŻE

Przez kraj „Ogniem i mieczem"

Wędrowniku, gdzie idziesz wpatrzon w słońce? Czyś w Horyniu poił spalone wargi? Gdzieś odrzucił gęśl lirnika, bojąc się, by struny nie rozpłakały ci się tęsknotą za jednem miastem, którego imię wywodzi się ze Światłości?[1]). A możeś zbierał w Zasłuczańskiej ziemi zdradny kwiat różanecznika, a upojon zapachem zapomniałeś o życiu i śmierci, aż się cheruby kiedyś obudzą[2]).

Zmęczony, jak płat, lotem długim, spadłem na ruiny Bony zameczyska, nad Krzemieńcem wiszące. Trzymając się rękoma mchem obrosłych murów — patrzyłem w dolinę na miasto zielone. Z ogrodów i sadów biły tęcze barw, bo było po deszczu. Ziemia oddychała rzeźwością. I tęcza stała dzieś nad Czerczą górą. Z łuku jej przedziwnego stąpała, po promieniach rozdygotanych, Matka z Synem, przedtem długo rozłączeni — ku miastu. A Juljusz mówił: „uwierz żeśmy nieśmiertelni od wieków" i, „że święci nie są to tylko ludzie, którzy pościli i żyli po zakonach, ale wszyscy, którzy dla wielkiej duchowej idei z ciała, ze szczęścia nieśli ofiarę; na czele takiego kalendarza jest Leonidas"[3]).

Matko błogosławiona od Boga przez Syna, który nigdy nie zapomniał o Twoim cierpieniu tworzenia! Mistrzu, któryś wierzył wbrew wszystkim w przemianę rodaków, któryś był od nich wyklęty — samotniku, niech wiara Twoja wreszcie ma wiktorję! Bo chmury zwątpień przysłoniły czoło. Czy tylko za słowami Twemi iść trzeba i słuchać świerszczy polnych na grobowcach zapomnianych? Kaskadą bez odpowiedzi toczyło się pytanie po jarach, echowe budząc głosy. Gdzieś cienie mołojców Krzywonosowych przebiegły.

Po chwili byłem w Liceum. Przebiegiłem puste korytarze — ze ścian szedł do mnie bezgłośny szept. Zasłuchany — przystanąłem. A ściany mówiły o czasach Kolegjum Jezuitów na początku, Komisji Edukacyjnej i Tadeuszu Czackim. Potem, błądząc po parku natrafiłem na róże porosłe, na miejscu domu, gdzie urodził się Słowacki. Jak dobrze, że ludzie nie mogąc się odmienić, pamiętali o pięknych kwiatach dla swego Wieszcza. Pomnik to o uśmiechu słońca wśród kolców.

Ostatni Wiśniowieccy, jakby przeczuwając swój zgon bezpotomny, zamykający szlak wielkiego rodu — ręką przeznaczeń niezachwianych zmuszeni — jęli pomniki swej Jeremiowej sławy budować, splendoru dodając gniazdu — Wiśniowcu. Odtąd stoi zamek na górze. Horyń, rozlawszy się w stawy, legł po południowej stronie. Park wiekowy osłonił od wichrów zachodu. Tam gdzie słońce wstaje, na cyplu Ojców Karmelitów klasztor z kościołem wzniesiono. Od północy za się miasteczko waruje żydowskie. Też pod zamkiem starodawna cerkiew, jak grzyb siedzi (1530 r.). A gdy wnijdziesz w jej wnętrze i okiem ciekawem powiedziesz po freskach ściennych — to ze skostniałego bizantyzmu — uśmiech helleński w postaci Adama i Ewy na cię spoirzy. Jest bowiem kształtność i piękno w ich rysunku. Nie ta boskość coprawda, która bije niewysłowienie z Apollina i Wenus, ale przełożę je, (o profan), nad arcydzieło Huberta i Jana Van Eyck w brukselskiem muzeum strzeżone[4]).

Do Zbaraża wszedłem, gdy gwiazdy zapalały się na niebie, czarny od drogi i pyłu, zmizerowany, w oczach tylko jakoweś błyski powstały. A gdy położyłem się w schronisku, by zasnąć, to u ramion moich wieńcem pancerni siedli. Przez zamknięte powieki ujrzałem ich sylwety marsowe. Najbliżej nachylił się ku czołu pan Longinus, snadź przeczuwając, że ongi przez lasy litewskie samotnie, jak odyniec kroczyłem. W prawicy trzymał Zerwikaptur, patrzał tylko nic mówiąc nic, swoim zwyczajem. Z czoła spływała mu krew strugą — tak, jak w chwili, gdy aniołowie niebiescy zabierali jego duszę, by unieść ją, jak perłę na drogę mleczną i wpleść do djademu Królowej. Pan Skrzetuski usiadł u ramienia, pan Michał po drugiej stronie. Przybył, bezszelestnie tym razem i pan Zagłoba, Zaćwilichowski stary Sierakowski, Wurcel i wielu innych, których nie zliczę. Może dlatego się zeszli, — że wypadł lipiec, tak, jak w roku pańskim 1649. Zamarło mi serce — chcąc zatrzymać mary senne, dotykalne, bliskie. Skoro zbliżało się ku porankowi, a Aurora przez okno była widoczna, pan Michał kazał mi iść na zamek. Tedy wszedłszy przez bramę, do dziś dnia istniejącą, stąpałem cicho nad fosą, by nie zbudzić poległych i błądziłem po murach świętych, wspominając chwile rycerskie. Patrzyłem na szuwary i ajery na brzegach Hniezny gęsto rozsiadłe, którędy to szedł Skrzetuski do króla, broniąc się przed gorączką. Obok mnie pan Longinus ciął szablą, aż powietrze zaskowytało. Pamiętasz — „trzy ciała wpadły pod fosę, trzy głowy w misiurkach potoczyły się pod kolana klęczącego rycerza", „a wszyscy zmarli Podbipiętowie, począwszy od przodka Stowejki, uradowali się w niebie"[5]). Wiele pięści biło w to miasto i zamek, a pomnik cichy strzelając ku górze, opowieść szepce o jednym, który był gorszy może od jataganów tatarskich i siczy zaporożskiej — był to najazd skrzydlaty: 3 sierpnia 1828 r. nad Zbarażem przez 6 godzin leciała chmurzyca szarańczy. —

Hen na górze, na urwisku skalnym, zrąb baszty się chwieje, a nad nią płyną obłoki — u dołu cicha wioska pośród drzew zielonych. Białe ściany chat, jak kwiaty patrzą na drogi. Czyjaż ręka sięgała ku niebu? To Sarmaci zagrodzili fortalicją Szlak Czarny. To Starego Zbaraża zwaliska.

Pociąg się zatrzymał. Za oknem wagonu konduktor zakrzyknął Trembowla. Zarzuciłem placak na ramię i chwyciwszy kij wybiegłem przez stacją na miasto, w dolinie rozsiadłe. Zaraz wita cię, nieznany przechodniu, tablica, której minąć nie możesz, a na niej wielkiemi literami wypisane, co cennego znajdziesz tutaj i w okolicach. Europą zapachniało. Inaczej człekowi zabiło serce. Litery te przywołują ci na pamięć dzieje ziemicy, którą w potocznej mowie zwą Podolem. Przyjacielem ci jest owa tablica, boć każda gruda tutaj przesiąkła krwią i poświęceniem od wieków. Na wstępie obaczysz nową bazylikę (1928 r.) szlachetną w linjach starożytnej Romy świątyń. A Chrystus, dźwigający krzyż kamienny, na podwórcu, pośród amfilady kolumnowej, wyda ci się dumniejszym, jakbyś wiedział, że wokół ludzie więcej cierpią, ale i więcej dają z siebie. Tuż obok uniacka cerkiew rozsiadła się oddawna, przy rynku. Idź dalej! Minąwszy pomnik Jana III, króla, co to ongiś miastu w sukurs nadbiegł — nietylko wzrokiem, ale i ręką natkniesz się na mury obronne, otaczające opactwo Karmelitów (XVII st.). A jeżeliś laik, ale bije w tobie źródliszcze zrozumienia boskiej sztuki tworzenia cudów z kamienia i cegły — to nie oderwiesz się od baszt narożnych. Taki artyzm od nich bije. Dwie dumają nad Hniezną — rzeką, dwie wybiegło na miasto, łączy je mur, a one, jak klamry szacowne strzegą klasztoru i domu Bożego. Zmieniły się czasy, a one czuwają! Podobnie gdzieś daleko w Wilnie, z tyłu kościoła św. św. Franciszka i Bernardyna, jest wieża, po której dusza biegnie ci do niebios, hypnotyzując skończonem pięknem. Szedłem dalej ku widnym na wzgórzu ruinom zameczyska. Dotarłszy tam spójrz na miasto w dole, tym wzrokiem, co patrzy obok cię z pomnika Zofja Chrzanowska, mężna duchem, błogosławiąca ręką swemu zamiłowanemu grodziszczu. A wtedy pomyśl: ileż Trembowli jest nieocenionym udziałem Polki? Czyż przed kilkunastu laty wyszedłbyś z domu niewoli; czyż kraina czarna Śląska wróciłaby; czyż oglądałbyś brzegi twego morza o poranku — gdyby Polka straciła wiarę i nadzieję? Gdyby Polka nie zamieniła każdy próg na twej wielkiej ziemi w redutę? Cóżeś wart ty bez Niej, o kordjanowy? Zaprawdę jeżeli promienie padają na Lechistanu okolicę — to z Jej skroni i piersi idą!

Trzy kilometry od Trembowli, idąc w kierunku chylącego się ku zachodowi słońca i może trochę na wyraj — przebywszy młodniak gęsty — wejdziesz w mury opuszczonego Monasteru, położonego na urwisku — w dole biegnie chyżo Seret, jak wąż połyskli-

(Dokończenie ze strony 1-ej)

KULTURA CZY JARMARK

I daremno będzie nas Tuwim przekonywał, że stał się uczniem bożych olbrzymów, Mickiewicza i innych wielkich, bo może uszczknął coś z ich artyzmu, ale nie wziął nic z ich polskości.

Jak daleko żydzi weszli i jak się czują dzisiaj swobodnie w naszej literaturze, to widać na każdym kroku. Taki Peiper np. daje rady, reformuje, stara się twórczość odwrócić od związku z przyrodą, a zwrócić ku miastu i maszynie. Tworzy koncepcje typowo - racjonalistyczne, obce naszemu poczuciu sztuki i tradycjom literackim. Postępuje tak, jakby w literaturze rządziła swobodnie moda, jak w upstrzeniach kobiecych główek. Nic nie znaczą nasze upodobania, uczucia ku ziemi, można je jednego dnia przekreślić i kazać iść za . . . Peiperem. Niech sobie idą żydzi, my nie pójdziemy, nie jesteśmy narodem bez ziemi i mowy, pędzonym przekleństwem z końca świata w koniec.

Powie ktoś, że odcięcie się od żywiołu obcego nam kulturalnie, jest postępowaniem niehumanitarnem i, ulubiony zarzut, niegodnym Europejczyka. Przepraszam, ale Europejczycy to jesteśmy my właśnie, europejskiem jest to, co my za takie uznamy, a nie co nam zechcą narzucić Azjaci z rodu, choćby nawet pisywali wiersze do „matki Europy", która ich wcale nie chce adoptować.

Są jeszcze i inne próby reformowania, jedną z nich jest t. zw. literatura proletarjacka. Mniejsza o to, że niemal każdy z jej przedstawicieli ma swoisty program i pogląd na sprawę, a gorliwie zwalcza innych; najniższy poziom reprezentują ci, którzy widzą w niej tylko narzędzie walki o cele polityczne, robią z niej aktualną broszurę, posługują się pojęciami np. krytyki burżuazyjnej lub faszystowskiej. Ale nie wiem, czy reprezentują tę literaturę np. poematy Czuchnowskiego, drukowane w kilkuset egzemplarzach (dla proletarjatu!!) i poezje podobnych mu „awangardzistów", których metaforyczność jest do tego stopnia ciemna, że nie rozumieją jej wyszkoleni literacko i znający ich przyramy „burżuje" tj. inteligencja. Może to symbol, jak nisko upadła warstwa „burżujów" i „mieszczan", że nie dorasta nawet do zrozumienia poezji przyszłego świata, a cóż mówić o innych jego bogactwach. Literatura proletarjacka istnieje, owszem, ale nie są nią dekadenckie zabawki literatów, bałamucących się marksizmem i szukających mocnych wrażeń; tworzy ją chłop czy robotnik. Jest ona częścią literatury narodowej, bo wypowiada się w niej ta sama polska dusza, jeno regjonalną w sensie społecznym, jak regjonalną geograficznie jest np. śląska i kaszubska. Literatura proletarjacka to D o b r z y ń s k i, a nie Czuchnowski.

IV.

Z jednej strony zalewa nas bezduszna międzynarodowa tandeta z drugiej wypychają się, rozpierają i chcą rządzić krzykliwe i pretensjonalne żydy; wielu Polaków dezorjentuje się i schodzi na manowce. Gdy dla obrony naszej cywilizacji nie robią nic jej urzędowi przedstawiciele, pora tu, jak i w wielu innych razach, by się zabrali do pracy wszyscy ci, którzy chcą, mogą i potrafią. Trzeba zdobywać dla polskiej kultury i rozszerzać polską cywilizację. Nie chodzi już nawet tylko o odparcie ataków, ale o parcie naprzód, o zdobycie dla polskości zbłąkanych dusz, o rozkwit naszej własnej, rodzimej twórczości na każdym polu.

Daje się dziś stypendja malarzom i plastykom, by jechali do Paryża kopjować pokraczne łamigłówki formistyczne, a w Polsce leżą odłogiem całe kopalnie ludowego piękna. Popiera się bezduszne i trupie „nowoczesne" urządzenia wnętrz i sztuki dekoracyjne, a polskie zdobnictwo, jedno z najoryginalniejszych i najbogatszych, leży w zapomnieniu. Buduje się szkarady, wołające, by je Bóg spalił piorunem, jak „Feniks" na rynku krakowskim, a nikt nie chce sobie przypomnieć budownictwa góralskiego, polskich kościołów i dworków. Akademja Literatury rozdaje listki bobkowe urzędnikom państwowym (bo muszą przyjąć) i hołubi na swem łonie żydów. Wysokie akademje wszelkiej umiejętności pełne i inne dostojne towarzystwa naukowe głowią się w znoju i gorliwości nad jednym przecinkiem, lub minutą czyjegoś urodzenia, a nie kwapią się, by zsumować dorobek cywilizacyjnej pracy narodu, pokazać jakiemi drogami szła jego dusza i co własnego wniósł do skarbca ogólnoludzkiego. Nic dziwnego, że gdy czytająca inteligencja (nie mówię o nieczytającej, bo i taka jest) szuka sobie problemów i zagadnień, to znajduje je w „odkryciach" Boy'a, bo mężowie nauki unikają tematów niedojrzałych do ostrożnej syntezy. A znów nie każdy będzie szperał, liczył zgłoski, zestawiał dwa odpisy nieautentycznego rękopisu, czytał słownik biograficzny karta za kartą. Książka naukowca, któraby się mogła stać źródłem zainteresowania dla szerszych kół i była wydarzeniem dnia, jest nieocenioną rzadkością.

Mamy słuszny żal do polskich uczonych (chodzi głównie o humanistów i pokrewnych), że zasklepili się w jałowych drobiazgach, które są koniecznemi środkami, ale nie celem i, z małemi wyjątkami, nie robią nic dla uświadomienia nam, kim jesteśmy, jaki nasz charakter narodowy, jakie koleje i etapy przeszła nasza kultura i cywilizacja, czem się różnimy od innych, co jest w nas dzisiaj z przeszłości. Wielkie dzieło rozmienili na szczególiki i bawią się niemi, a między palcami przecieka im dusza narodu, treść i istota całych naszych dziejów. Trud cały spada na jednostki, jak Wasilewski, które z heroicznym uporem orzą opuszczony ugór. Robią to często za nas obcy, aby świadomie i celowo obraz zfałszować i dostosować do swoich celów. Prasa i dzienniki w większości wolą frapujący opis „mokrej roboty z uwiedzeniem" od felietonu literackiego, recenzji, artykułu naukowego, czy polemiki. Lepka sensacja króluje w tym organie życia społecznego, który ma najszerszy zakres oddziaływania i używa dziś swych wpływów częściej dla burzenia, niż budowania. Smutne nasuwają się refleksje, gdy się przypomni, że były czasy, w których prasa była u nas jednym z głównych i twórczych czynników w hodowaniu cywilizacji.

Ludzie, interesujący się kulturą i twórczością narodu są zagłuszeni i zepchnięci na bok, a korzystają z tego instytucje w rodzaju „Wiadomości Literackich", specjalizujące się w „pośrednictwie i handlu kulturą". Wyniki są widoczne: zamienienie stopniowe naszej cywilizacji na kram towarów mieszanych, w którym jest wszystkiego potrochu, a nie w dobrym gatunku. A przecież wartość nasza dla samych siebie i ludzkości nie polega na zachłystywaniu się międzynarodową tandetą, ale na własnej twórczości. Musimy oczyścić atmosferę i usunąć szkodników, bo jeśliby miało tak pójść dalej, to niedługo czuć się będziemy wśród tego „postępu" obcy, jakby to nie w Polsce się działo. Nie wolno dopuścić do tego, by nasza cywilizacja stała się krzykliwym i kolorowym jarmarkiem, choćby to miał być nawet „jarmark rymów".

Trzeba dziś nam, wszystkim świadomym Polakom, postawić na czoło swych prac sprawy kultury i cywilizacji narodowej, skupić tych, dla których są one bliskie, nadać całemu życiu i twórczości polski styl. To jest naszą ambicją i obowiązkiem. Musimy utrzymać ciągłość rozwoju polskiej cywilizacji, nie dopuścić do zatracenia się jej swoistego charakteru i jedności. Oddzielić ją od zalewu obcych elementów i zdobyć się samym na wielki wysiłek twórczy. Pomnożyć dorobek poprzedników naszym własnym wkładem, poznać i zgłębić drogi, któremi dotychczas kroczył naród polski i rzeczy, które zdziałał. Rozstrzygnąć: kultura, a nie jarmark.

Rozwinięcie własnej pracy twórczej, świadomie opartej o psychikę narodową i pracy badawczej nad przeszłością, dla pełnego samopoznania i samouświadomienia — to zadania, do których trzeba się wziąć twardo i uczciwie.



Wybór ceramiki łużyckiej z osady bagiennej w Biskupinie.

Stanisław Statkiewicz, Pabjanice

Pobudka

Świt! Świt! roboczy lud się budzi,
Po bruku tętnią twarde kroki
szarych codziennych biednych ludzi.
Światłość w suteryn bije mroki!

Świt! Świt! Po twardej życia grudzie,
idą ku niemu biedni ludzie.
Idą aż echo gdziesik gada
w ciemnych zaułkach u poddaszy.

Świt! Świt Olbrzymia mknie gromada
biednych codziennych ludzi naszych —
tam gdzie się kupią moce wraże.
I tam gdzie słońce się ukaże.

Świt! Świt! Ku słońcu idą młodzi,
Idą robocze szare tłumy,
O Jezu! idą w skier powodzi.
A orlich skrzydeł słychać szumy.

Do walki rzeszo miljonowa,
Niech żyje Polska Narodowa!!!

---

wy na spotkanie Hniezny. A po drugiej stronie rzeki step ciągnie się daleko, tykając nieba"[6]). Oszołomion długo będziesz tym przedziwnym widokiem rzuconym nieoczekiwanie przez Boga przed twoje oczy. I chciałbyś zamknąć powieki zatrzymując na zawsze obraz. Cóż kiedy, choć cisza niezmącona wokół, to mary cię mnichów opadną, skarżąc się krzykliwie na dolę swoją, która była. Baszty, mury nadkruszone i puste okna, jak oczodoły zapadnięte — są również skamieniałą ich skargą i buntem przeciwko kajdanom okrutnej ascezy, której może wielu z nich nie pojęło nigdy.

„Od baszt św. Trójcy do wszystkich szczytów skał, po prawej, po lewej, z tyłu i na przedzie, leży mgła śnieżna, blada, niewzruszona, milcząca — mara oceanu, który niegdyś miał brzegi swoje, gdzie te wierzchołki czarne, ostre, szarpane, i głębokości swoje, gdzie dolina, której nie widać i słońce, które się jeszcze nie wydobyło. Na wyspie granitowej, nagiej, stoją wieże zamku wbite w skałę . . . i zrosłe ze skałą, jak pierś ludzka z grzbietem centaura. Ponad niemi sztandar się wznosi, najwyższy, i sam jeden wśród szarych błękitów"[7]) — to sztandar Barszczan. Skupia się ostatnia Sarmatów gromada, gorącego serca, bronić honoru Gasnącej. Kazimierz Puławski im przewodzi. Wokół Moskali ciżba niewolna. Szturm za szturmem idzie. Dymy prochowe otoczyły i zawisły nad wzgórzem. Jedynie słychać śpiew:

„Nigdy z królami nie będziem w aljansach
Nigdy przed mocą nie ugniemy szyi . . ."

Huk dział przytłumił głosy oblężonych, ale po chwili wytrysły mocarne:

„Więc choć się spęka świat i zadrży słońce
Chociaż się chmury i morza nasrożą
Choćby na smokach wojska latające
Nas nie zatrwożą"[8]).

Dziś w Okopach św. Trójcy został jeno ułomek murów zamkowych nad Zbruczem, dwie bramy i kościołek. Fortalicję tą wzniesiono w r. 1693, po haniebnym Traktacie Buczackim, co to oddał szmat Podola Turczynowi; ucierpiała znacznie podczas obrony Konfederatów (w r. 1769), a z gruzów podniesiono kościół, który wtedy zniszczon był najwięcej.

*

Sympatyczny żołnierzyk K. O. P.-u żegnał mię ręką, gdy wsiadałem do łódki chybotliwej, by przebyć Dniestrowe nurty. Po drugiej stronie rumuńskie straże czekały. Zaraz, gdy stanąłem na lądzie, poprowadzon zostałem przed oblicze oficera. Ten, z wdzięcznym uśmiechem południowca, sprawdziwszy przepustki i papiery moje — puścił mnie wolno.

*

W małą godzinę później, słońce jarzyło tropikalnie, a pola kukurydzowe stały nieporuszone, wszedłem w mury chocimskiej twierdzy. Była to arx clarissima, na miarę rzymskich imperatorów budowana (w r. 1718) i taką trwać będzie wiecznie. A basza Chocimia zaiste, możnego być musiał reprezentantem państwa, co to Nilu brzegi tykając, po piaski Arabji i góry Kaukazu biegło. Ongiś kalif rzekł: niech na rubieży dniestrowej stanie zamek, godny Osmanów potęgi, jak strażnica nieugięta przeciw dzielnym Lechistanu ludom, ku poskromieniu nadto ruchliwych Nogajców moich i giaurów — mołdawian. I wola jego wykonaną została, co do joty. Głazy, kamienie i cegły naniesione przez niewolniki zrosły się ze skalicami, tworząc całość imponującą do dziś dnia. Długo chodzić można po murach i basztach; patrząc na iglice minaretów, nadgryzione czasem; dumać na podwórcach turniejowych, włóczyć się po lochach.

To znów wyszedłszy na szczyty podziwiać rozległe widoki. Cichość dzisiejsza nadto senna. Za tobą idzie wierny cień — Jego Królewskiej Mości Karola II żołnierz, sprawując się bezszelestnie — toć jednak myśli on twoich nie pozna, które rozkolebały się, pędząc przez faliste Viconowe stulecia bogów, bohaterów i ludzi. „Chocim zasłynął w dziejach naszych pamiętnemi zwycięstwy: za Zygmunta III w roku 1621 i za Michała Korybuta w roku 1673. Sułtan Osman wypowiedział wojnę Polsce w tej nadziei, że gdy rozgromi przewagą sił swoich chorągwie nasze, dalszy podbój Europy łatwo mu przyjdzie. Zygmunt II przeznaczył na wodza, sławnego zwycięzcę Szwedów pod Kircholmem, sędziwego Jana Karola Chodkiewicza, który natomiast wezwał Lubomirskiego z wojskami koronnemi. Przeprawiwszy się przez Dniestr dogodne wybrał miejsce Chodkiewicz na obóz i dobre na stoczenie bitwy. Z jednej strony otoczyły go skaliste rzeki brzegi, z drgiej krzewiny i lasy, pełne dróg krętych i wąwozów zatoczystych. Środkiem ciągnęła się równina sposobna do zwabienia pohańców i starcia się z niemi. Tył obozu zasłaniał zamek na wysokiej skale. Sułtan stanął na czele wojska wynoszącego 300.000, prócz 100,000 ordy. Zbliżała się ta ogromna potęga powoli. I do naszego obozu ściągały posiłki. Oczekiwani Kozacy, szablą sobie wyrąbawszy drogę przez gęste zastępy Tatarów, przybyli pod wodzą dzielnego Piotra Konaszewicza, zwanego Sahajdacznym. Nadciągnął i królewicz Władysław ze swemi pułki. Łącznie wojsko polskie liczyło 30.000 i 30.000 Zaporożców. Widok tych dysproporcyj między walczącemi siłami mógł zastraszyć każdego, tylko nie rycerstwo nasze. Od 2 do 28 września walki trwały ogromne. Szczegóły tych bitew gorących, bohaterskich poświęceń, osobną księgę stanowić mogą. Wielokrotne szturmy, co najprzedniejszych sił pohańców kończyły się klęskami, których grozę nie sposób opisać. Te niepowodzenia zmusiły sułtana do przyjęcia warunków pokojowych (w dniu 9 października 1621 r.). W tych samych miejscach Jan Sobieski stanął z chorągwiami swemi 9 listopada 1673 r. pod warownym obozem tureckim. Równo z brzaskiem dnia Kącki rozpoczął ogień armatni. Dymitr Wiśniowiecki dowodził prawem skrzydłem, środek trzymał Jabłonowski, lewe skrzydło wiedli hetmani litewscy. Długo wahało się zwycięstwo. Aż nazajutrz, gdy piechota zdobyła wały na wrogu i zrobiła przystęp otwarty dla jazdy — Jabłonowski w 15 chorągwi usarskich ruszył w łukę powstałą, a dawnym zwyczajem, kazawszy złożyć kopję w pół ucha końskiego, runął jak lawina na zbite i nieprzełamane dotąd szeregi janczarów. Padł popłoch na Turki, złamani w ucieczce szukali ocalenia"[9]).

*

O Lwowie, przedziwny kawalerze Virtuti Militari — o Dzieciach Twoich bohaterskich mówić każe mi dusza. Łka mi coś w piersiach. I stałem mały przed Orlętami Twemi na cmentarzu łyczakowskim. Dlaczego nie danym mi było być razem z nimi? Zginąć za ideę, za iskrę idei! A tak marnie, bezsensownie płyną dni — potem zostanie garść prochu — i nic więcej. Miljon młodych pragnie, by porwano ich do współtworzenia wielkiej ojczyzny — a są pasierbami poza nawiasem!

*

Pomyśl i przebacz, ty który spojrzysz na te słowa. Niepokój może zasiałem ci w piersi, targnąłem sumieniem — nie umiem inaczej, nie mogę inaczej. Gdy spojrzę czasem naokoło — to ból mnie szarpie, za krtań coś chwyta: o Kraju, czemuż tyle kąkolu wyrosło wśród łanów Twoich? I czemuż się to stało dziś, gdy wstałeś do nowych przeznaczeń?!

ADAM MARCINKOWSKI, LUBLIN

---

[1]) Łuck na Wołyniu, Luceoria po łacinie.

[2]) Pogwarka ludowa głosi, że gdy sen zmoży kogoś wśród rozkwitniętych krzewów różanecznika ten umrze. Różanecznik, krzew niezmiernie rzadki, spotykany w Europie: na Zasłuszu Wołyńskim, w Paśmie Czarnohory i na Kaukazkim Grzbiecie.

[3]) Z listu J. Słowackiego do matki z dnia 8. X. 1844 roku.

[4]) Wskazane dzieło Huberta i Jana Van Eyck, przedstawia zgodnie z tendencjami średniowiecza, postacie Adama i Ewy ogromnie realistycznie, zapoznając piękno sylwetki ciała ludzkiego.

[5]) Z „Ogniem i mieczem", H. Sienkiewicza.

[6]) Obecnie jest-to równia, gdzie falują łany pszeniczne.

[7]) „Z Nieboskiej Komedji", cz. IV — Z. Krasińskiego. — Opis przytoczony nie odpowiada rzeczywistej topografji ruin zamku okopów św. Trójcy, niewątpliwie Wieszczowi odpowiadała tylko nazwa.

[8]) Z „Księdza Marka", J. Słowackiego, pieśń Konfederatów.

[9]) Opis w głównych zarysach zaczerpnięty ze Słownika Geograficznego, tom I „A — Der", str. 598—600, wyd. r. 1880.

Marja Malkiewiczówna, Kraków

Paweł Bourget

Zmarły w ostatnich dniach grudnia Paweł Bourget zostawił po sobie ogromne dzieło, zostawił dobre imię. Dzieło zbyt wielkie, by je ogarnąć i wyczerpać w krótkim rzucie oka; imię katolika i nacjonalisty zbyt dobrze znane, by koniecznie, mówiąc o Bourget'cie, charakteryzować jego katolicyzm i nacjonalizm. Na małym odcinku, z jednego punktu widzenia, popatrzmy dziś na twórczość tego pisarza, wydobywając ze splotu jego tytułów do wielkości tę jedną nić.

Kiedy się dziś przerzuca liczne strony niezliczonych powieści Bourget'a, trudno się oprzeć wrażeniu dramatyczności jego myśli. Poprzez przydługie analizy psychologiczne, suche, niejednokrotnie szablonowe, poprzez często tak naiwnie postawioną i przeprowadzoną tezę o naukowem zacięciu, dramatyczność ta emanuje z lektury Bourget'a. Taka cecha u pisarza ceniącego tradycję siłą rzeczy nawiązuje do epoki najświetniejszej w dziejach teatru: myślimy o XVII wieku, kiedy teatr europejski jest u szczytów i nieledwie cała literatura pozostaje w znaku dramatyczności. To związki głębsze i bardziej organiczne, niż zwykłe t. zw. wpływy literackie. Nie chodzi mi o to czy i kogo Bourget naśladował. Stwierdzam tylko, że w poszukiwaniu odwiecznych zagadek i tragedyj ludzkich, musiał się spotkać z Corneille'm i z panią de La Fayette, z Jansenistami i z Calderonem.

Walka z miłością, walka z przeznaczeniem, to zasadnicze zagadnienia „Coeur de femme" i „La geôle" Bourget'a. Na niebezpiecznej drodze uogólnień literackich, sięgnijmy do konkretnego przykładu. Młoda bohaterka „Coeur de femme", pani de Tillières, ucieka od świata, wstępuje do klasztoru, mimo że nic napozór nie przeszkadza jej małżeństwu z Raymondem Casal. Postępuje jak Princesse de Clèves pani de La Fayette, i tak samo dzieli ją od ukochanego człowieka cień mimowolnie wyrządzonej swojem szczęściem krzywdy. W „La geôle", matka, chroniąca syna przed groźbą „dziedzicznego" samobójstwa, wszakże to odwieczny problem ciążącego nad człowiekiem przeznaczenia i oporu, który mu stawi wola ludzka. Jakże stąd blisko do króla z „Życia Snem" Calderona, który wyczytał los syna z gwiazd, właśnie jak pani Vialis — z orzeczeń lekarza deterministy. I ojciec i matka nie doczytali zresztą wyroku do końca: nie doczytali ostatniego słowa, które opatrzność pozostawiła wolnej woli ludzkiej, a może własnemu miłosierdziu.

Te dwa przykłady, wybrane dość przypadkowo, te daty: 1890 (Coeur de femme), 1923 (La geôle), są symptomatyczne dla całej twórczości Bourget'a. Cenne światło rzuca tu na zmarłego pisarza artykuł znanego nacjonalisty francuskiego, Karola Maurras („Candide", 2. I. 1936). Myśl przewodnia krytyka, zawarta w tytule „Les mouvements de Paul Bourget", ukazuje nam uatora „Disciple" w ciągłej drodze ku świadomemu celowi. Maurras zwalcza rozpowszechnione mniemanie, jakoby Bourget katolik i monarchista wyszedł od katolicyzmu i monarchizmu, jakoby nie ulegał żadnym przemianom ideologicznym. Znów odnajdujemy moment dramatyczny: ruch, to akcja, a chwile przełomu są walką. Takim przełomem w twórczości Bourget'a jest rok 1889 — data wyjścia „Disciple". „Ruch" wewnętrzny pisarza nie pozostaje bez oddźwięku w społeczeństwie. Gwałtowna polemika dyskutuje poważną i głęboką tezę powieści: sprawę odpowiedzialności teorji naukowej za jej konsekwencje stosowane w życiu. Bourget nie cofa się odtąd z obranej drogi. Zagadnienia społeczne tej miary, co sprawa religijności młodego pokolenia, sprawa uchronienia rodziny (rozwód), stanowią oś znanych jego powieści, „Etape" (1902), „Divorce" (1904).

Bourget nie umie harmonijnie łączyć swego apostolstwa ze sztuką powieściopisarza. Za przykład może służyć właśnie problem rozwodu. Aktualny jest we Francji u schyłku XIX wieku w związku z wprowadzeniem prawa rozwodowego. Literatura protestuje: protestują katolik Bourget i protestant Rod. O ileż silniej do nas mówią, dziś jeszcze, dwa tomy Rod'a: „La vie privée de Michel Teissier" (1893), „La seconde vie de M. Teissier" (1894), których autor nie wypowiada swego zdania od pierwszej strony, nie stawia tezy, by ją w powieści udowodnić. Bodaj, że ta właśnie niezręczność najwięcej drażni u Bourget'a. Między France'm i Loti'm, jego miejsce artystyczne nie należy do pierwszorzędnych. Coraz więcej zresztą głosów współczesnej krytyki dostrzega jego wartość przedewszystkiem w dwu tomach prac krytycznych, „Essais de psychologie contemporaine" (1933-5).

Pomimo tych zastrzeżeń, musimy się odnieść z szacunkiem do półwiekowej, świadomej i konstruktywnej pracy zmarłego powieściopisarza. Miała i ona swój dramat: do ostatnich lat, Bourget niezmordowanie pisał coraz słabsze powieści. Nad świeżą mogiłą, M. Martin du Gard przypomniał to ostro, może zbyt ostro. Od lat, „M. Bourget se survivait." (Nouvelles Littéraires, 28. XII. 1935).

Pouczające są zresztą liczne artykuły poświęcane obecnie Bourget'owi w prasie francuskiej. Sympatje i antypatje występują ostro w stosunku do ludzi o zdecydowanym kierunku, a takim był Bourget. Naszej sympatji nigdy nie dosyć dla apostoła zdrowych idei, rycerza katolicyzmu i wroga schedy rewolucyjnej r. 1789.

A wobec niedociągnięć artysty i pisarza, jedno słowo obrony: dramatyczność. Zrozumienie walki, którą jest życie, zachwalanie trudnych dróg większego oporu. Bezczynne bohaterki buduarów i salonów, przedwojenne kobiety bourgetowskie, — nawet one — umieją kontynuować dobrą tradycję francuską, tak u nas niedoceniany urok starego Corneille'a. Corneille ma też inny epitet we Francji, mówi się o nim: wielki. Wielkość Pawła Bourget wywodzi się, między innemi, z walki, którą w życiu dostrzegał i cenił.

OD REDAKCJI.

Recenzję dobrej sztuki „Szesnastolatka" (Teatr Polski w Poznaniu) pióra Stanisława Odrowąża i dalszy ciąg pracy dr. Kazimierza Brossa „Mierosławski winien czy niewinien?" zamieścimy w następnym numerze.

Przypominamy o uregulowaniu prenumeraty!

Czesław Pilichowski, Poznań

Urbanizacja czy rustyfikacja

Zagadnienie stosunku kultury ludowej do kultury miejskiej coraz więcej zyskuje na wadze. Stale obserwujemy w całokształcie rozwoju kultur narodowych przerost treści urbanistycznej. Poprostu silniejsza ekspansywność i większe możliwości ewolucyjne sprzyjają rozwojowi ostatniej. Obecnie zaszły pewne zmiany w zakresie ustalania współzależności i wzajemnego stosunku obu tych kultur.

Zadaniem niniejszych uwag jest wytyczenie ram zagadnienia. Zamykamy ten problem w następującej alternatywie: urbanizacja czy rustyfikacja kultury.

Już na wstępie można powiedzieć, iż sfery wpływów, jakie roztaczać będą i muszą wzajemnie kultura ludowa i kultura miejska, nie utrwalą się bez pewnego rodzaju walki. Głównym celem walki tych kultur będzie wytworzenie takiej kultury, któraby skupiała w sobie najwartościowsze treści obu kultur. Treści kulturalne, dostarczane przez miasto i wieś, złożą się w sumie na t. zw. kulturę narodową.

Adam Goltz przed prawie stu laty zwracał uwagę na niebezpieczeństwo, jakie stanowi dla całości kultury narodowej jednostronna kultura urbanistyczna, ekspansywniejsza od kultury wiejskiej, czy jak inni nazywają, ludowej. I pisze: „Różnorodność ich pożycia, przewaga miasta nad wsią, lub odwrotnie, szczególną cechą napawa ludy chrześcijańskiej cywilizacji. Miłość prawdziwie małżeńska z uznaniem praw obojga przyszłości dziejów jest zadaniem" („Bibljoteka Warszawska", 1842).

Tak. Uznać trzeba prawa obu środowisk społecznych w tworzeniu kultury narodowej. Bezwątpienia kultura miejska, jako wytwór raczej intelektu niż instynktu i uczucia, jest dalej posunięta w swym rozwoju i jako taka, rozporządzając większą sumą treści kulturalnych, dotychczas kulturę ludową — kulturę wsi, — przytłaczała. Kulturze ludowej przypadła rola odświeżania kultury miejskiej, usuwania zatrutych jej dziedzin, czy też przejaskrawionych, wynaturzonych form.

Widzieć w tej pracy oczyszczającej wsi, można pewnego rodzaju sprawdzian wartości kultury miejskiej. Okazało się przytem, że kultura miejska przynosiła na wsi dezorganizacje, rozkład, widoczne dziś na wszystkich polach ludowej kultury. Temu nie da się zaprzeczyć.

Ale kultura urbanistyczna posiada w sobie ogrom treści dodatnich. Chodzi o to, aby treści te przeszczepić na wieś. Stałaby się wtedy kulturą ludową nietylko wartością drugorzędnego tworzenia się kultury narodowej, ale pierwszorzędną, kierującą. W tem tkwi ów postulat przyszłości, którego spełnienie uważał Goltz za sprawę konieczną.

Z tem łączy się kwestja jakości kultur: miejskich i wiejskich. W każdej z nich ujawnia się dwoistość jakości: w miejskiej — przewaga ilości treści kulturalnych nad ich wartością, a w ludowej — przewaga dodatnich treści kulturalnych, acz ich wydzielić się da o wiele mniej, niż w miejskiej. Wszak kultura wiejska jest silniejszą od kultury miejskiej współcześnie tylko pod względem jędrności, świeżości i zdrowia. Pozatem kultura ludowa stoi o wiele niżej, — (przyczyna tkwi w naturalnych warunkach bytowania i ewolucji tejże kultury), — tak, że nie dałoby się w oddziaływaniu i przenikaniu wzajemnem tych kultur uniknąć ważnego niebezpieczeństwa: mianowicie kultura ludowa przyjęłaby z kultury miejskiej tylko pierwiastki błyskotliwe, zewnętrzne, a więc zasadniczo destruktywne. Wpływa na takie ukształtowanie się treści obu kultur różnorodność ich genezy, na co już zwracaliśmy uwagę, że kultura wiejska — to wytwór intelektu, a kultura ludowa — raczej instynktu, uczucia, do czego przyczynia się jej ciągły i bezpośredni związek z ziemią, z naturą. Tu tkwi też przyczyna owej dwoistości kultur miejskich i wiejskich, której wnet, a może wcale nie da się usunąć z pełni kultury narodowej.

Czyż wobec tego można realizować zorganizowane, wzajemne oddziaływanie społecznych źródeł kultury, a więc, miast, miasteczek i wsi, w akcie podnoszenia stanu kultury narodowej? — oczywiście nie. Raczej należy zacieśnić się w podnoszeniu kultury narodu do poszczególnych regjonów, centralizując w nich kulturę i, czyniąc je ośrodkami kulturalnemi poprzez uświadamianie tylko o istotnych, zarazem najwartościowszych, zdobyczach materjalnej, duchowej i społecznej kultury. Naturalnie rozszerzanie wartości i treści kulturalnych w narodzie zapomocą zdobywania przez dany regjon, — potrzebnych tylko dla niego, — treści, będzie się dokonywało już całkiem organicznie, — jako wynik potrzeb, pragnień i upodobań danego regjonu: miasta, wsi lub kompleksu miast i wsi.

Rozwiązanie zagadnienia leży więc we wzajemnem przenikaniu treści kultur: miejskiej i wiejskiej, o czem decydować będzie uświadomiona wola poszczególnych regjonów. Na tej platformie łączyć można problem urbanizacji i rustyfikacji z regjonalizmem i kulturą narodową. Rola regjonalizmu będzie w tym procesie bardzo znaczną. Gdyż on najdokładniej przefiltruje treści kultury miejskiej i wiejskiej, wykazując tem samem ich narodową, życiową wartość. W ten sposób teza urbanizacji i rustyfikacji zyska realne podstawy, dzięki czemu uniknie się w kulturze narodowej jednolitości urbanistycznej kultury i przeszczepiania jej treści ujemnych do kultury ludowej.

Pod światło...

Niedyskrecje

Szereg przedsięwzięć z zakresu budownictwa i prac publicznych w naszem państwie znamionuje nieliczenie się z zasadniczemi wymogami użyteczności. Tezę tę pozwolimy sobie zilustrować paroma przykładami.

Głośna sprawa budowy średnicowej linji kolejowej Warszawy, biegnącej tunelem pod miastem. Wiele miljonów to dzieło pochłonęło. Jeszcze budowa nie jest skończona całkowicie. Istnieje możliwość, że w najbliższym czasie aktualna będzie kwestja budowy metra stolicy o kierunku już zaprojektowanym przez urbanistów: Marymont - Mokotów. Metro będzie musiało przejść pod tunelem kolejowym, czyli na głębokości 4—5 pięter ponad powierzchnią ulicy, w punkcie najbardziej ożywionym. Nikt — mniemać należy — nie będzie się zbytnio kwapił na ten spacer w dół, chyba że stolica zafunduje mieszkańcom windy, coprawda będzie to kosztowało, ale inaczej już teraz nie będzie można sprawy rozwiązać. Szkoda, że nie pomyślano dawniej nieco (przed budową linji średnicowej), że kolej obwodowa od południa (przez Siekierki) zadośćuczyniłaby potrzebom stosowniej i niewątpliwie taniej, a bez krzywdy dla metra i warszawian.

Sławna już jest dziś historja kolejki linowej z Kuźnicy na Kasprowy Wierch. Cała opinja publiczna wypowiedziała się przeciwko niej — cóż jednak to znaczy. Ktoś kędyś powiedział: ma być... i będzie.

Również brak uzasadnień rzeczowych kolei Porzecze — Druskieniki, oddanej w r. 1934 do użytku — gdy się ma nieskończoną mnogość prawdziwych potrzeb. Jedynym argumentem — chyba tylko legenda.

Dużym nakładem pracy i pieniędzy wybudowano szereg elewatorów zbożowych (Lublin, Kutno itd.); miały one służyć specjalnej polityce. Powiał inny wiatr. Koncepcję zarzucono. Elewatory stoją — puste.

Pewnego pięknego dnia zdecydowano przenieść Radomską Dyrekcję P. K. P. do Chełmna Lub. Wybudowano tam nową, piękną dzielnicę miasta. Ostatecznie Dyrekcji nie przeniesiono. Sto kilkadziesiąt gmachów i domów pustkami świeci — idzie w ruinę.

W Gdyni ma być burzony dworzec kolejowy, bo okazał się za mały. Czy tego nie można było przewidzieć parę lat wcześniej.

Znana jest powszechnie kwestja komasacji wsi, przeprowadzana z olbrzymim wprost nakładem pieniędzy, by wyjść nareszcie z obcęgów szachownic. Trud to daremny, bowiem nie określono ustawowego minimum niepodzielności gruntów. Jutro zatem pan X. z działki 5 wsi Skomasowanej ożeni się panią J. z działki 7 tej wsi. Otrzyma w posagu paręset prętów; równocześnie pan Z. z działki 6 podzieli swe 10 morgowe gospodarstwo pomiędzy 4 dzieci, które nie mają nic przeciwko temu, by połączyć się w stadła ze znajomemi sąsiadami z działki4, 3 i 8. A więc wracamy do tego, skąd z takim trudem wyszliśmy — do szachownicy.

Przykłady można mnożyć.

Jedno zostaje niezbyt dyskretne pytanie: — chyba to wszystko czyni się poto, by obrzydzić ostatecznie życie obywatelom, którzy mają czasem śmiałość myśleć o tem i owem? Cóż zrobić, gdy coraz więcej ludzi w Polsce myśli...

ADAM MARCINKOWSKI, LUBLIN.

Poznań w karykaturze



Józef Popkowski — Prof. dr. B. Winiarski

Wśród książek

— M. SMOLARSKI: „Hanna Krzemieniecka — Dzieje myśli i twórczość".

Książka Smolarskiego, mająca charakter monografji twórczości H. Krzemienieckiej, zasługuje na uznanie — autor podchodzi do twórczości H. Krzemienieckiej od wewnątrz, co jest bardzo słuszne i usiłuje, zresztą całkiem trafnie, ująć najprostszemi barwami jej postawę twórczą na tle współczesności. Konsekwencja w przeprowadzaniu rozważań jest wyraźną. — Cała książka przesycona jest entuzjazmem dla twórczyni. W swych rozważaniach Smolarski skłania się do narzucenia czytelnikowi metodycznej rozprawy dyskusyjnej, przedstawiając Krzemieniecką w jaknajlepszem świetle. — Po przez całą książkę, daremnie szukaliśmy, bodaj jednego braku — luki w wartościach duchowych twórczości, a raczej w jej obrazie naszkicowanym przez Smolarskiego. Do książki tej należy podchodzić ze stanowiska krytycznego, może tem więcej dlatego, że Smolarski zbyt wiele widzi w twórczości H. Krzemienieckiej komplikacyj wewnętrznych duszy, a więc motywu filozoficznego i psychologicznego. A dalej — Smolarski podkreśla silną indywidualność — a tem samem oryginalność w twórczości pisarki, luźne rzucając uwagi o pewnych związkach z filozofją Nietschego. Szkoda, że autor, pracujący zapewne dość długo nad twórczością H. Krzemienieckiej, nie rozpatrzył się gruntowniej, czy aby ta, nie ma na sobie znamion obcego ducha. Żałować również wypada, że Smolarski nie uwzględnił kwestji stylu Krzemienieckiej, bowiem na tym punkcie nie trudno dojść do odszukania wzorów, jak również ocenić język, środki ekspresji — barwność itd. — Poza drobnemi zastrzeżeniami książka ta jest dobrym oddaniem całokształtu twórczości H. Krzemienieckiej, i rzuca nieraz wcale ciekawe tło na jej życie, czego bez wyzyskanych przez Smolarskiego dokumentów nie moglibyśmy wyczytać pomiędzy wierszami jej powieści.

B. T.

MARJAN ŁEBKOWSKI, POZNAŃ

Z OPERY

Adriana Lecouvreur. — Rose Marie. — Katarzyna Jarboro w „Aidzie".

Wystawiona ostatnio piękna opera Cile'a „Adriana Lecouvreur" spotkała się z gorącą sympatją świata muzycznego Poznania, tembardziej, że dyrekcja teatru nie szczędziła trudu i starań, by to nieznane jeszcze w Polsce dzieło ukazać w odpowiedniej szacie dekoracyjnej, uwzględniając właściwy podział ról i bardzo sumienne opracowanie muzyczne.

Opera, mimo zawiłej akcji, posiada wiele ciekawych momentów, zgrabnie wyreżyserowanych przez p. Janowską-Kopczyńską. Główne role spoczywają w rękach pp.: Stani Zawadzkiej, Roessler-Stokowskiej, Gołębiowskiego, Cirina, Karpackiego i Gruszczyńskiego.

Na szczególną uwagę zasługuje balet układu Maksymiljana Statkiewicza. Kierownictwo muzyczne — w wytrawnych rękach dyr. Dr. Latoszewskiego.

*

Operetka Frimla „Rose-Marie" cieszy się w Poznaniu niezwyklem powodzeniem. Całość — efektowna, dobrze wyreżyserowana i odegrana; dekoracje bogate i piękne, balet interesujący i urozmaicony.

Główne role kreują pp.: Musielewska lub Kaupówna, Majchrzakówna, Trojanowska, Peter, Sendecki, Horski, Cirin oraz Szerszyński i Krysztof.

Całość prowadzi kapelmistrz W. Buchwald.

*

Występy Katarzyny Jarboro w „Aidzie" należą do najciekawszych w obecnym sezonie. Pani Jarboro obdarzona jest silnym głosem; — gra jej, nieco może chwilami przejaskrawiona, wywoływała duży efekt i zachwyt publiczności.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65. — Telefon 59-97.
PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.
CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅛ strony — 40, zł, 1/16 strony — 30 zł.
Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum), w Wilnie — Stefan Łochtin.
Rękopisów nie zwraca się. Rękopisów nie zwraca się.
Redaktor naczelny i wydawca: Jan Wyganowski. Red. odpowiedzialny: Władysław M a c i ą g, Poznań.
Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.